

Nawyk.

— Skoro jesteście z Ascain, musicie znać Sorreguita? — indagował garsona Gilbert Perez, kończąc swą kawę, na tarasie hotelu.

— Ma się rozumieć, że go znam. To mój kuzyn.

— A Jose Carruburu?

— Żyje zawsze z kontrabandy i upija się w niedzielę na cały tydzień.

— Znałem prócz nich w Ascain Piotra Loti'ego, Othare'go i wiele innych jeszcze osób. Pamiętam również, że do ogrodu Carruburu przylegał ogród...

— Należący do...

— Ach, zamilcz proszę! Zbyt wiele szczęścia pogrzebałem w nim nazawsze. Od dwudziestu lat nie byłem w tych okolicach, a i dziś jestem tu w przelocie. Wspomnienia mnie nagle opadły, ale nie mam czasu zajrzeć do Ascain...

— Ależ właścicielka ogrodu, o której pan wspominał, bawi teraz tutaj, w naszym hotelu. Siedzi w tej chwili na drugim końcu tarasu. Nazywa się M-lle Etcheverria!

Na dźwięk tego nazwiska Perez zachwiał się, jak maszt okrętowy. Balustrada, morze, Pireneje w fioletach, wszystko wokół tańczyło mu w oczach, podczas gdy M-lle Etcheverria, dosłyszawszy półgłosem wyszeptane swoje imię, z lekkim uśmiechem zdziwienia, stanęła przed nim.

Myśl, że nie został poznany uspokoiła go nieco. Ale młoda kobieta, po kilku chwilach milczenia, otwierając szeroko oczy, zawołała radośnie:

— Ach, to ty, Gilberte? To ty? Jakże jestem szczęśliwa!

Mówiąc te słowa, podała mu rękę tak naturalnie, jak gdyby się wczoraj rozstał i żaden ból ich nie był rozdzielił.

Wziął jej dłoń i pochylając się nad twarzą jej, promieniejącą niespodzianą radością, ze zdumieniem stwierdził, że się nic a nic nie zmieniła.

— Marja-Teresa! Marja-Teresa! — wyszeptał olśniony.

— Nie, nie! — odparła. — Nazywaj mnie Mathe, jak dawniej!

Usiedli obok siebie, niezdolni do rozmowy ze wzruszenia. Od czasu do czasu, kiedy milczenie zbyt im ciążyło, przerywali je, wymawiając każde imię drugiego, co im sprawiało radość niezmierną.

— Moje serce oczekiwało cię, Gilberte! — odezwała się ona później nieco — to spotkanie — po pierwszej chwili oszołomienia, wydaje mi się zupełnie naturalne.

— Jesteś zawsze ta sama, Mathe! Odnajduję cię taką, jaką cię opuściłem przed dwudziestu właśnie laty w ogrodzie pełnym róż. Tyś nie postarzała!

— To prawda — odparła bez cienia ko-

kieterji — moje życie stało się, jak zegar, którego wahadło zostało tracone, owego ranka, kiedyś odjechał. Od tej pory żyłam, jak skąpiec złotymi wspomnieniami tej jesieni, w której zazналиśmy szczęścia. Zapas był już na wyczerpaniu. Ale oto, jesteś wreszcie...!

— Twoja matka...

— Umarła przed piętnastu laty — szepnęła Mathe, spuszczać nisko głowę; matka jej bowiem przerwała pasmo ich szczęścia; przez nią zranili się wzajem boleśnie!

— Jesteś... sama, Mathe? Wolna...?

— Tak. W ciągu dwudziestu lat żyłam w oczekiwaniu dzisiejszego dnia.

Zamilkli oboje. Gilbert rozpamiętywał w duchu grzeszne swoje życie od chwili zerwania z Mathe; nawiązanie stosunku ze słynną aktorką i wyjazd z nią do Ameryki Południowej.

— A ty, Gilberte, czy jesteś wolny? — zagadnęła go Mathe z kolei — owa kobieta...?

— Litości, Mathe! — przerwał jej gorąco — nie wspominaj o tym szale, odpokutowanym tak ciężko! Ciebie jedną kochałem i kocham...! Ale...

Wielki smutek odbił się na jego twarzy, którą ukrył w swych dłoniach.

— Gilberte! Gilberte! — zawołała Mathe wylekła — powiedz mi prawdę: nie jesteś wolny? Ale to nie! Ja ci pomogę zwalczyć wszelkie przeszkody i życie twoje w jedno pasmo szczęścia zamienię...

— Mathe — odparł z głębokim smutkiem tuląc do siebie ukochaną kobietę, którą odnalazł poto, aby ją znowu utracić za chwilę — niema już miejsca dla szczęścia w moim życiu. Oto niezmienny regulamin dni moich: o szóstej z rana na nogach. Gimnastyka, prysznic, kawa czarna. O ósmej odjazd do mego banku. Do dwunastej sprawy bieżące: korespondencja do przejrzania, inspekcje, dyktando listów, telefony, interesanci... O wpół do pierwszej śniadanie.

— Co mnie to wszystko obchodzi? — przerwała mu Mathe — nie igraj z naszym uczuciem! Domyślam się: jesteś żonaty...!

Odpowiedział jej łagodnie, lecz z nieugiętą stanowczością w głosie:

— Nie, nie jestem żonaty. Ale słuchaj mnie dalej. Od dziesięciu lat jadam śniadanie w tej samej restauracji, przy tym samym stole, w tym samym otoczeniu. O godzinie pierwszej czarna kawa u Pommes. Jest to bar. Tam pijam kawę, nie gdzie indziej. O drugiej bank: znowu interesy, giełda, kupno, sprzedaż, asygnaty — jak maszyna aż do wieczora. O szóstej bilard. W ciągu dziesięciu lat nie opuściłem dwudziestu nawet wieczorów. Idę na bilard, jak inni na kieliszek. O ósmej obiad. Przyjaciele, interesy, bridge, cocktail. O dziesiątej wreszcie...

— Gilberte — wtrąciła Mathe z rozpaczą w głosie — po co te wykręty? Masz kochankę?

— Tak — odparł, poczem wobec przygnębiającego milczenia Mathe, ciągnął dalej:

— O dziesiątej zatem wracam do domu. Stara fajka, pantofle, ziółko, rytmiczne ruchy, sen. Od lat nie zmieniam tego porządku dnia.

— Gilberte, Gilberte! Nie dręcz mnie. Powiedz mi: tej kobiety, tej kochanki nie możesz oddalić, dać jej do zrozumienia...

— Nie przypuszczam.

— Bardzo dawny stosunek zatem...?

— Tak jest, bardzo dawny.

— Kochasz ją?

— Mathe! Mathe, moja najdroższa — odparł Gilbert z bezdennym smutkiem w głosie. — Ciebie kocham i innej kobiety nie kochałem w życiu. Czyż nie widzisz jednak, że dzieli nas despotyczna, bezlitosna kochanka, która nie wypuści mnie ze swych szponów, aż do dnia mojej śmierci...

— Kto ona, Gilberte?

— Nawyk, Mathe — odrzekł upokorzony, spuszczać nisko głowę. — Moje życie składa się z nieprzerwanego łańcucha mechanicznych, skoordynowanych ruchów warunkujących sprężystość moich codziennych czynów i podtrzymujących mnie, jak kule kalekę. Bez nich byłbym zużytym, zrujnowanym człowiekiem. Nie jestem na tyle męczemny, Mathe, aby ofiarować ci siebie wzamian za twoją nieskażoną miłość, za nieskalaną świeżość twojej duszy!

Przez oblicze tego kochającego mężczyzny, ale niewolnika codziennych swych egoistycznych nawyków, przebiegł kurez nerwowy i dwie łzy stoczyły się po policzkach.

Skamieniała twarz Mathe postarzała się nagle o lat dwadzieścia.

Tłum. Jotsaw.

— (:o) —



Kazimierz Worch, po świetnych sukcesach śpiewających za Oceanem, powrócił do ojczyzny.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURIERA ŁÓDZKIEGO“

Rok V.

Niedziela, dnia 28 października 1928 r.

№ 44.



Strach ma wielkie oczy. Piękna pani w obawie przed... myszka.

TEATRALIA.

Z Warszawy. — „Rusałka“ na scenie lwowskiej. — Dramat o Jakóbie Szeli. — Rozmaitości.

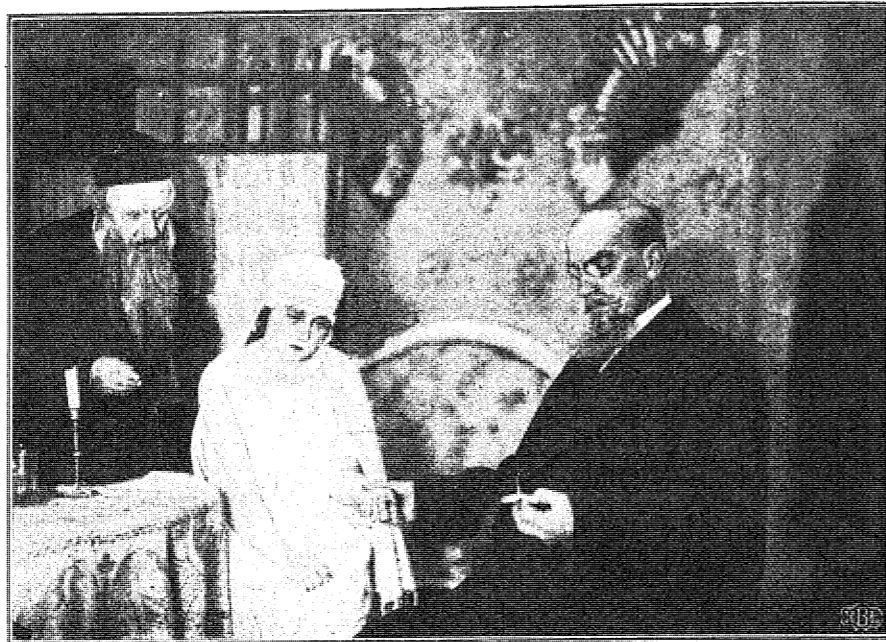
Wśród starszej generacji aktorstwa polskiego śmierć znów uczyniła wyłom bolesny, zabierając w tych dniach cenionego i popularnego artystę b. Rozmaitości, ś. p. Teodora Konopkę, znanego ze sceny pod imieniem Rolanda. Urodzony w Warszawie w r. 1863, ś. p. Roland rozpoczął swą karierę sceniczną w trupie Puchniewskiego, a następnie został zaangażowany do Krakowa przez dyr. Koźmiana, gdzie wkrótce wybił się na jedno z czołowych stanowisk. Od r. 1891 — 1893 przebywał w zespole wędrownym L. Kościelskiego, poczem zaangażowany został do b. warszawskich teatrów rządowych, gdzie aż do przejścia na emeryturę pozostawał.

Po raz pierwszy wystąpił ś. p. Roland w stolicy w komedji Przybylskiego p. t.: „Wejście w świat“. Zmarły artysta, należący do grona najbardziej popularnych postaci polskiego świata aktorskiego, celował głównie w role amantów komedjowo-lyrycznych, stwarzając długi szereg oryginalnych i indywidualnie ujętych kreacji w sztukach polskich i zagranicznych.

Związek artystów scen polskich i związek zawodowy muzyków wystąpiły z inicjatywą wskrzeszenia tak świetnej niegdyś i doskonałej operetki warszawskiej. Związki te zwróciły się z odpowiednim apelem do opinii publicznej oraz do czynników rządowych i samorządowych, pisząc m. in.: „Dziś większość zarówno artystów sceny i muzyków z doskonałej wówczas orkiestry ratuje swą egzystencję w uciążliwych wędrownkach po kraju, bez możliwości kultywowania prawdziwego artystyzmu, narażona na poniewierkę i niespokojny żywot cygana... Teatr operetkowy w stolicy ma wszelkie dane, by egzystować. Nie jest bowiem do pomysłenia, by nieznanym u nas doskonałym repertuarem z ostatnich lat kilku nie potrafiła się zainteresować publiczność warszawska, jeżeli repertuar ten znajdzie dobrych wykonawców w znanych nam zdolnych reżyserach, śpiewakach, kapelmistrzach i muzykach“.

Apel powyższy uważamy za zupełnie uzasadniony i godny należytego oddźwięku. Operetka warszawska posiada istotnie bardzo piękne tradycje i gdyby je umiano wskrzesić — nabrałaby z pewnością znowu charakteru reprezentacyjnego, tak, jak to było dawniej za czasów niezapomnianej dyrekcji ś. p. Słwińskiego.

Opera warszawska wystąpiła z premierą „Poławiaczy pereł“ — Bizeta, znanego bardziej jako twórca nieśmiertelnej „Carmeny“. Jako dzieło operowe „Poławiacze pereł“ nie mogą się nawet równać z „Carmeną“, ani pod względem muzycznym, ani scenicznym. „Poławiacze“ posiadają natomiast inną cechę, szczególnie sympatyczną dla śpiewaków, mianowicie — pozostawiają im bardzo szerokie pole do popisu, składając się niemal bez reszty z efektownych arii, duetów i t. p. W operze tej, wystawionej



Teatr Popularny w Łodzi wystawił ostatnio na scenie swej ciesząc się olbrzymim powodzeniem sztukę Gabrieli Zapolskiej p. t. „Małka Szwarcenkopi“. Powyżej fragment jednej ze scen doskonale wyreżyserowanej i pięknie wystawionej sztuki.

w Warszawie z dużą naogół starannością główne partie wykonali pp. Ewa Bandrowska-Turska, Mossakowski i Mossoczy oraz nowo-zaangażowany śpiewak p. Anatol Wroński (w roli Nadira). Ten ostatni zaprezentował się bardzo dodatnio, wykazując nietylko poważne zasoby wokalne, lecz również duże ich wyrobienie i opanowanie.

Nieznaną prawie w Polsce operę czeskiego kompozytora Dworzaka wystawił Teatr Wielki we Lwowie, zapoznając tym sposobem publiczność z jednym z najświetniejszych dzieł wielkiego muzyka. Dworzak — symfoniista i instrumentalista z talentu i upodobania — stworzył w „Rusałce“ muzykę piękną, melodyjną i zajmującą, będącą kunsztownym połączeniem ludowej, najsławniejszej niemał prostoty z oryginalnością wyszukanych form polifonicznych. Główny nacisk w tej pięknej operze słowiańskiej położony jest na orkiestrę, dla której cała akcja sceniczna, soliści i chóry są jedynie uzupełnieniem i ilustracją. Libretto do opery napisał poeta czeski Jaroslav Kvapil, zaczerpnąwszy treść ze świata baśni o Rusałce, zakochanej w królewiczu. Dzięki współpracy poetyckiej Kvapila, który dał pomysł niebanalny i pełny, opera Dworzaka zyskała dużo na wartości i wewnętrznej harmonii. „Rusałka“ wystawiona została we Lwowie pod batutą reżyserską p. Tarnawskiego, z pp. Plattówna, Szymonowiczem i Benderem w rolach głównych.

Przebywający w Paryżu jeden z expionierów futuryzmu polskiego, poeta Bruno Jasiński przerobił scenicznym słowo o Jakóbie Szeli, wystawiając następnie tę przeróbkę w sali „Grand-Orientu“ siłami specjalnie dobranej grupy robotniczej. P. Jasiński, który obecnie prze-

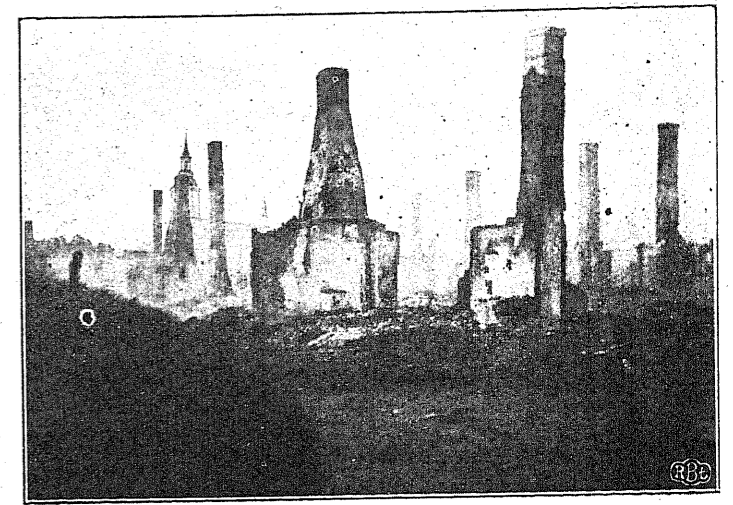
chodzi najwidoczniej okres komunistycznych dreszczów i swą powieść francuską drukuje w „Humanite“, nietylko wyapoteozował postać Szeli, gnębiąc dziedziców, plebanów i ekonomów, ale — co więcej — upstrzył przeróbkę bardzo nowoczesnymi hasłami Kominternu i zbuntowanemu chłopstwu kazał śpiewać „Międzynarodówkę“. Wszystko to nie jest ani mądre, ani sympatyczne. Co się zaś tyczy artystycznej strony przedstawienia, to przedstawia się, zwłaszcza pod względem inscenizacji, w sposób daleko bardziej interesujący. Widowisko ujęte zostało w ramy wielkiej tryptykowej szopki polskiej z opadającą strzechą i ciężkimi wieżami, zamykającymi środkową część tryptyka. Skrzydła tych wrót, otwarte na oścież, służą jednocześnie za kurtyny dla bocznych skrzydeł tryptyka. W tych trzech miniaturowych scenkach rozgrywa się kolejno akcja sztuki. Akcję komentuje chór, przewijający się przez sztukę pod różnymi postaciami. Ostatnia odsłona — rzeź — ujęta jest, tak samo, jak w poemacie, w tańeczny rytm zapustów. W rytmie tańca, przed rozbawioną gromadą chłopów sprowadzają na sąd dziedziców. Po każdej takiej scenie gromada otwiera środkowe wrota, za którymi ukazuje się niebo, a na jego tle dwóch kosmyków, którzy, jako niebiescy oddźwierni, przyjmują kolejnego „tyrana“.

W bieżącym sezonie otwarto w Londynie sześć nowych teatrów, mogących pomieścić razem około 8000 widzów, a wybudowanych kosztem ok. półtora miliona f. szterl. Największy z tych nowych teatrów londyńskich pomieści 1700 foteli, najmniejszy zaś, nazwany „Kameralnym“ — 500.

Delta.



Ś. p. Zofia Rodowiczowa, ceniona artystka Teatru Miejskiego w Łodzi, zmarła w dniu 5 b. m.



Na gruzach i popielisku m. Rozprzy, pod Piotrkowem. Na zdjęciu ruiny spalonego miasta.



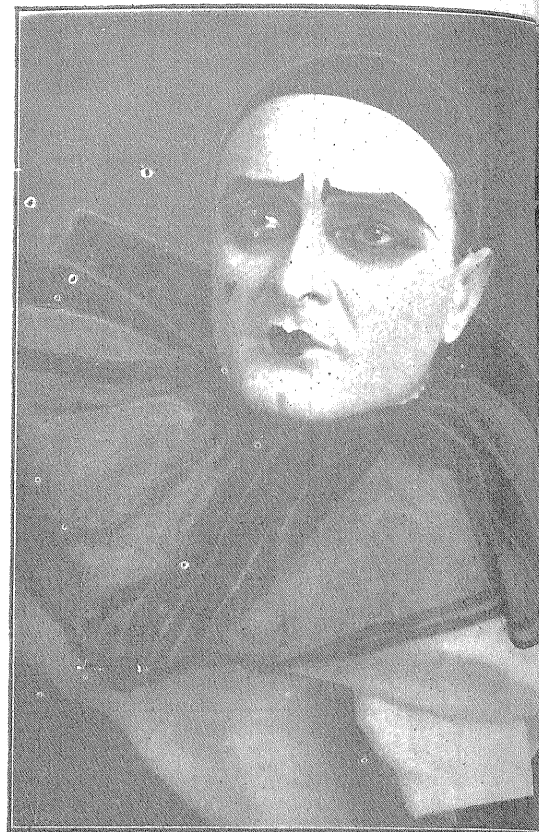
Echa strajku powszechnego w Łodzi. Powyżej ciekawe fragmenty ilustrujące ulice miasta w chwilach strajku. Na lewo silny kordon policji wypiera zgrupowanych komunistów z ich postem Bittnerem przy ul. Piotrkowskiej, — na prawo zaś tłum obserwujący wypadki uliczne.



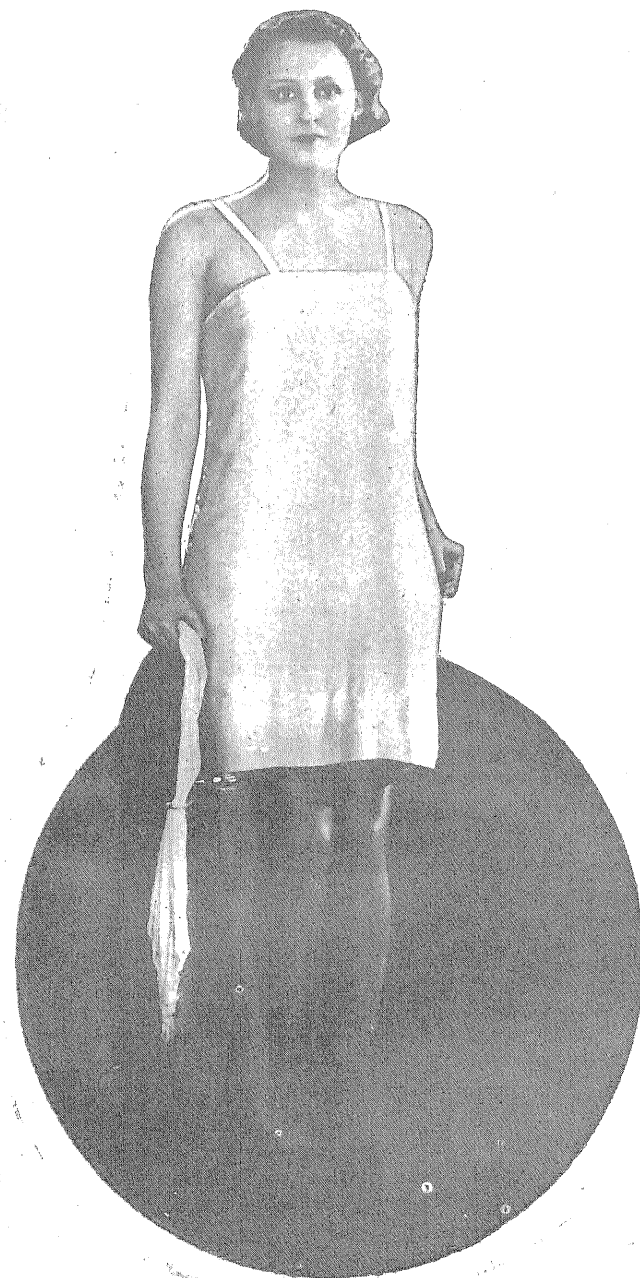
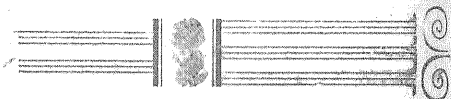
W dniu 14 b. m. zakończono sezon kolarski i motocyklowy w Łodzi zorganizowaniem biegów o mistrzostwo miasta. Na zdjęciu lewym od strony prawej stoją: Szmidt, zwycięzca biegu kolarskiego, Raab (obydwa z „Rekordu“) i Einbrodt („Szturm“) — mistrzowie swych klubów. Na prawo zaś moment z biegów motocyklowych na torze w Helenowie.



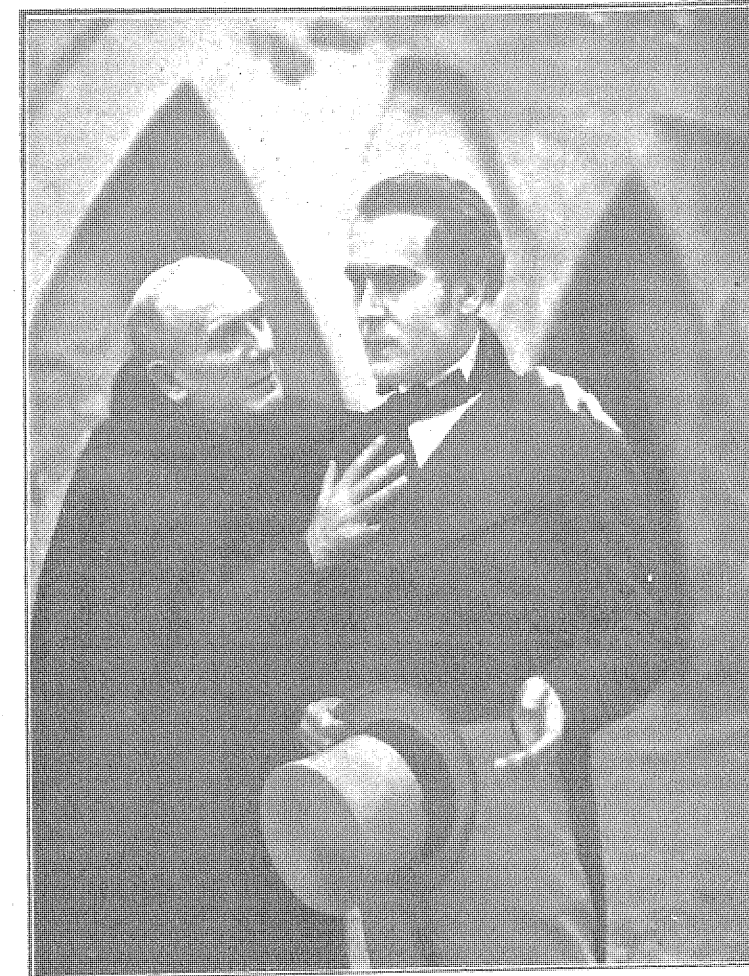
Wspaniały gmach, który jest siedzibą konsulatu polskiego w Berlinie.



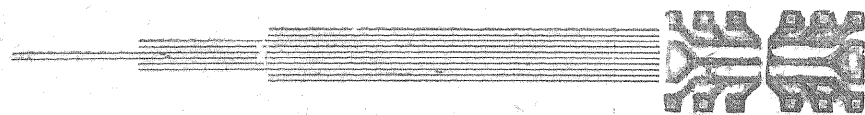
Józef Ślawski, znany w kraju piosenkarz, swego czasu podbił Łódź swymi występami.



Najoryginalniejsza „gwiazda“ srebrnego ekranu, Brygida Helm, w swej nowej kreacji.



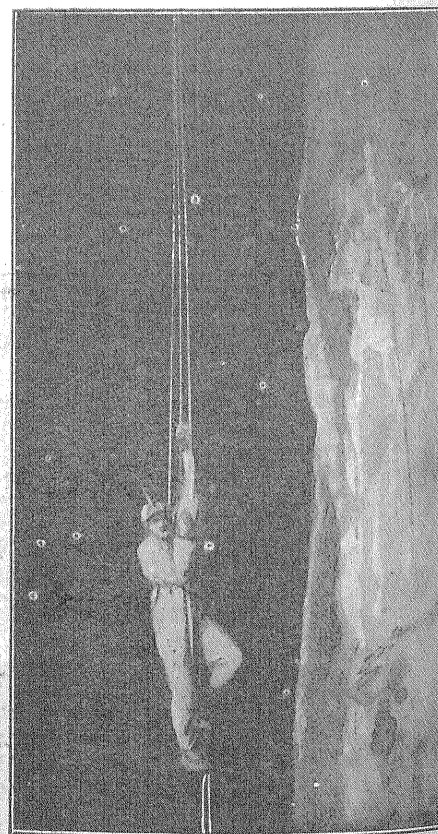
Fragment z nowego filmu produkcji krajowej p.n. „Pan Tadeusz“, zrealizowanego według arcydzieła mickiewiczowskiego. Na zdjęciu Leon Łuszczewski w roli Pana Tadeusza i Jan Szymański jako Ksiądz Robak.



Senator Jouvenel, dyrektor wielkiego francuskiego „Matin“.



„gwiazdeczka“ na firmamencie polskiej sztuki filmowej, urocza H. Rydzewska.



Jak powstaje film? Zdjęcie brawurowego sztucmiana się na jeden z niebezpiecznych szczytów.



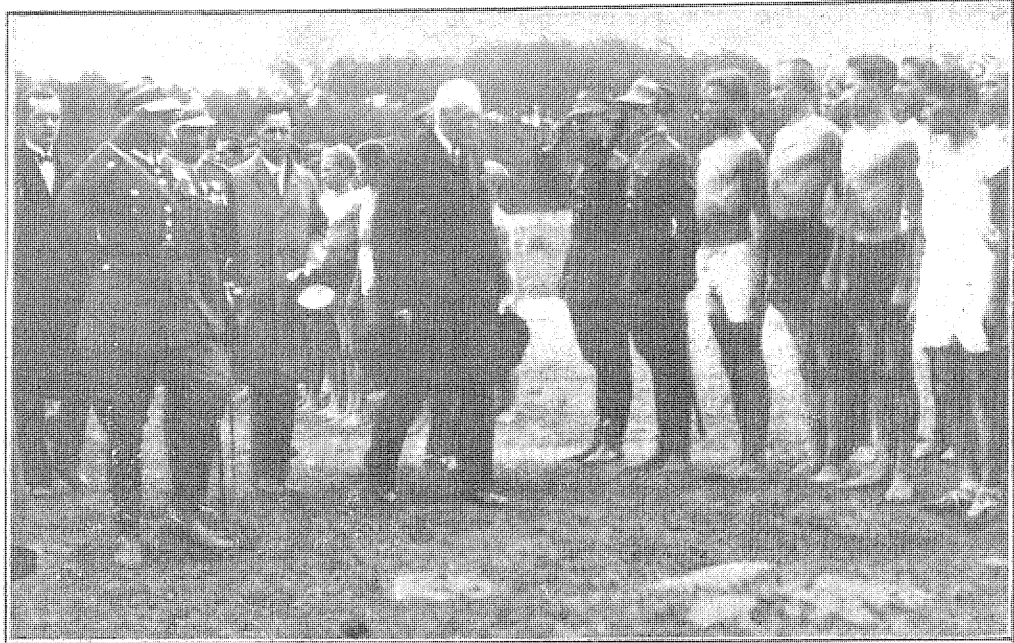
Aillen Pringle i Lew Cody odtwarzają naczelną rolę w filmie realizowanym przez jedną z amerykańskich wytwórni.



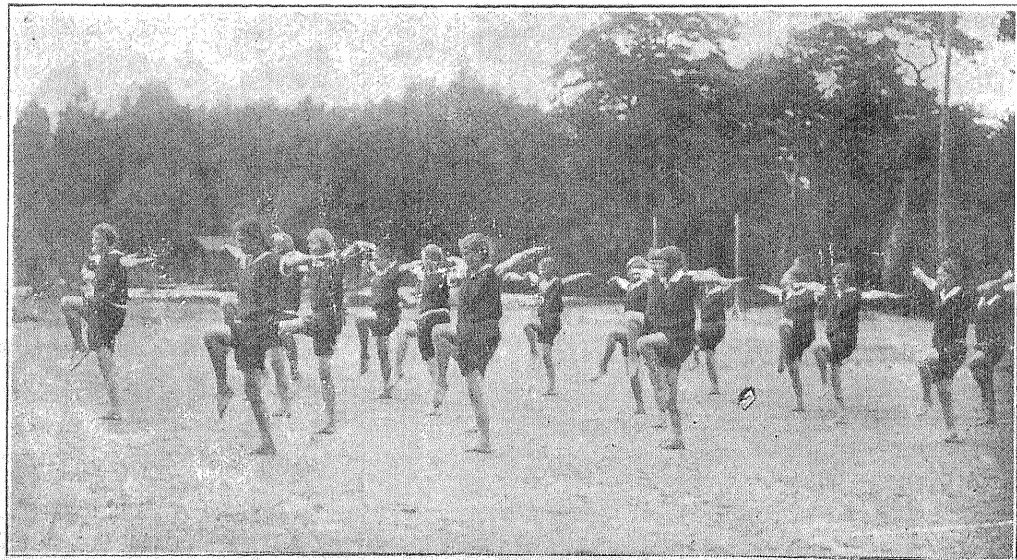
Dyrektor polskiej opery wędrownej p. Tadeusz Wierzbicki



Kulminacyjny moment największego filmu tegorocznej produkcji p.n. „Tragedja w Singaporze“ z Ramonem Novarro.



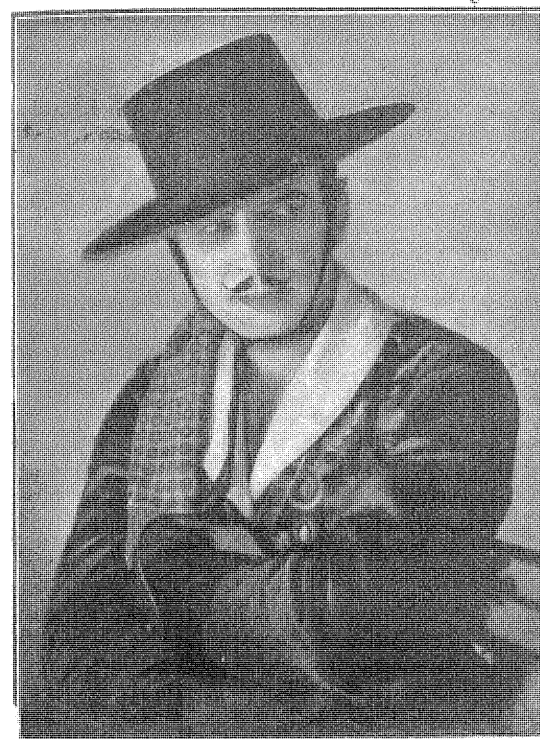
P. Prezydent Rzeczypospolitej zwiedza obozy Wychowania Fizycznego i Przystosowania Wojskowego.



Fragment z popisów gimnastycznych.



Na lewo p. Hulanička bije Woynoszowską na 60 metrów. U góry grupa zawodniczek A. Z. S-u. U dołu p. Tabacka wygrywa 200 mtr. przed Gędziorowską i Rokoszanką. Na prawo p. Konopacka w skoku.



Światowej sławy artysta filmowy Douglas Fairbanks.



Nasza ulubienica, Jadwiga Smosarska i śliczny chłopiec, Jerzy Marr — bohaterzy najwspanialszego filmu polskiego p. t. „Tajemnica Starego Rodu”, który ukaże się na ekranie „Casina”.



Mieszkańcy wyspy Honolulu. Piękność kobieca tego kraju.



Conrad Veidt i Mary Philbin w arcydziele filmowym „Człowiek śmiechu”.

Płomiennie-krwawy księżycu.

Frank L. Schoell (tłumacz „Chłopów“ Reymonta) największy potentat współczesnej literatury murzyńskiej, w artykule, poświęconym Janowi Toomerowi, mówi o „Odrodzeniu murzynów“. Nowela niniejsza Jana Toomera jest wymownym odrodzenia tego zaprzeczeniem, stanowiąc zarazem ciekawy dokument z życia murzynów amerykańskich.

I.

Ze sterczących, jak nagie szkielety murów, z podłóg spróchniałych i masywnych, ręcznie ciosanych belek dawnej przedziałni przedwojennej, cieniem zmierzchu powiało. Z cieniów wyloniła się okrągła tarcza księżycowa. Rozżarzona do białości, do płonącej kiści jodłowej podobna, oblała miękką swą jasnością chaty murzyńskie, długim rzędem stojące po obu stronach jedynej ulicy robotniczego miasta i oświetliła bramę fabryczną, rzeźbiącą w niej swą wróżbę.

Dla zażegnania nieszczęścia murzynki zaintonowały pieśń.

Skofczywszy robotę w kuchni swych białych państwa, Luiza, śpiewając, wspinała się na szczyt wzgórza. Skóra jej była koloru liści młodego dębu na jesieni. Jędrne jej piersi wystawiały swe końce, do dwóch dojrzałych żółdziej podobne, a śpiew jej był przytłumionym szmerem wiatru w drzewach figowych.

Bob Stone, najmłodszy syn państwa, kochał ją i posiadał.

Tom Burnwell, ten, którego całe miasto nazywało Big Boy, kochał ją również, ale pracując po całych dniach w polu, nie mógł się jej dotychczas ze swą miłością oświadczyć. Myśli murzynki krążyły około obu, kiedy po wyjściu z kuchni, szła ku szczytowi wzgórza, śpiewając półgłosem w obliczu złowróznej pełni księżycowej.

Dziwny niepokój miotał sercem Luizy i przyspieszał powolny rytm jej pieśni. Miała bowiem spotkać się za godzinę z Bobem Stonem w gęstwinie trzciny cukrowej, a przeczuwała wizytę Toma Burnwella w chacie

Zszedłszy ze wzgórza, weszła do miasta robotniczego i opadła znużona na próg swego domostwa.

Jakieś psy zawyły żałośnie. Zbudzone kury zagdakały; pianiem kogutów rozbrzmiała ulica. Tarcza księżycowa wznosiła się powoli ku gęstym białym obłokom w których miała ukryć się niebawem, a głosy murzynek zaintonowały mocniej:

Red nigger moon, Sinner!
Blood - burning moon, Sinner!
Come out that fact'ry door!

(Szkarłatny księżycu murzyński,
grzeszniku!

Płomiennie-krwawy księżycu,
grzeszniku!

Odejdź od progów fabryki tejl).

II.

Old David Georgia, pilnując miedzianego kotła, z którego aromat trzciny cukrowej niósł się po lesie i wzgórzku ku miastu robotniczemu, opowiadał murzynom siedzącym wokół ogniska o białych ludziach, o wódce, którą przemycają, o zbiorce bawełny i urodziwych dziewczętach murzyńskich. Tom Burnwell, żując łydżę trzciny cukrowej śmiał się wraz z innymi do chwili, kiedy ktoś wspominał o Luizie, Bobie Stonie i jedwabnych pończochach, które pewnie dostała od niego.

Wówczas, zerwawszy się na równe nogi, z płomieniem w oczach rzucił zebrany w twarz: „Moja jest!“, skinął głową staremu Georgia i szybkim krokiem poszedł ku miastu.

Luiza siedziała na progu swej chaty. Stając przed nią, dotknął brzegu piśniowego kapelusza, wsunął potężne pięście w kieszenie bluzy i bez słowa przywitania wypalił:

— Bob Stone kocha cię, Luizo. Któżby cię zresztą nie kochał? Ale nie tak, jak ludzie opowiadają! Nieprawdaż Luizo?

— Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć, Tom...

— Oczywiście, że nie wiesz! Dobrze, że nie wiesz...! Śpiewaj, śpiewaj, kochanie, a ja siedząc przy tobie, będę ci wtórował!

Wziąwszy doń jej w swoje ręce, kolos osunął się swem olbrzymim ciałem na próg chaty, tuż przy niej.

Tarcza księżycowa znikła w purpurze obłoków. Stara murzynka przyniosła zapaloną lampę i zawiesiła ją u studni gromadzkiej, której wielki cień padał na ulicę naprzeciw Toma i Luizy. Stara, śpiewając — wzięła łańcuch i ciągnąc ją ciężkie wiadro. Przez oświetlone okna widać było ruszające się, jak gdyby niespokojne, sylwetki, których głosy zlewały się z głosem starej. Cała ulica wraz z Tomem i Luizą śpiewała:

„Red nigger moon, Sinner!

„Blood - burning moon, Sinner!

„Come out that fact'ry door!

III.

Bob Stone krokiem niedbałym wyszedł ze swej werandy, kierując się poprzez gąszcz jeodeł i magnolij ku plantacjom trzciny cukrowej starego Lemon'a, gdzie miał się spotkać z Luizą.

Cartwell mówił mu, że Tom Burnwell asystował Luizie, kiedy od niego wracała... To nie może być! Żaden murzyn nie odważyłby się umizgać do dziewczyny, należącej do niego, Boba Stona, potomka starego rodu Stonów! Niechby się który ośmielił...!

Tak rozmyślając doszedł do umówionego miejsca, ale Luizy ani śladu! Pewnie jest z Tomem Burnwell'em! Krew Bobowi w skroniach zabiła. Przedarłszy się przez las trzciny cukrowej, pobiegł drogą, wiodącą ku miastu i jak cień wynurzył się z ciemności, stając przed przytulonymi do siebie postaciami Toma i Luizy.

Tom zerwał się na równe nogi.

— Czego chcesz?

— To ja, Bob Stone.

— Doskonale. A to ja, Tom Burnwell. Czego tu chcesz?

Bob rzucił się nań... Ale Tom odskoczywszy w bok, sięgnął do kieszeni i błyskawicznym ruchem przejechał stalowym ostrzem po szyi Boba Stona. Z głuchym ękiem ranionym, chwytając się na nogach, powłókł się wzgórzem ku miastu białych. Murzyni, świadkowie zajścia, zamknęli się w swych chatach, gasząc w nich światła. Luiza oszłamiona, zdrewniała nie dała się zaciągnąć do domu. Stając się, podeszła do studni i cparła się plecami o cementową. Tom stał przy niej i zastygł w bez ruchu, jak w ziemię wbity.

Bob dowlókł się do gościńca, gdzie spotkawszy białych osunął się w ich ramiona, szepcząc:

— Tom Burnwell... Tom Burnwell...

Tłum ludzi białych, uzbrojonych w rewolwery, strzelby, powrozy, naftę i pochodnie szedł gościńcem ku miastu robotniczemu. Tom wiedział, że idą, ale nie mógł się ruszyć z miejsca. Niebawem otoczyła go ciżba wrogich postaci. Mężczyzna wysokiego wzrostu o cerze trupiej podszedł doń i przykładając mu lufę strzelby do brzucha, huknął:

— Ręce w tył, podły murzynie!

Skrepowano go.

— Spalić go! Spalić go żywcem w fabryce! — rozlegały się dzikie głosy w tłumie.

Tom zrobił ruch we wskazanym kierunku, ale musiano go tam zawlec. W ponurym milczeniu wbito pal na środku podwórza, przywiązano doń ofiarę powrozami, zrobiono stos ze zmurszałych desek i oblało go nafta. Twarz i wzrok Toma miały wyraz kamienny. Gdyby nie urywany oddech jego piersi, możnaby było przypuszczać, że już nie żyje.

Rzucano pochodnię na stos. Olbrzymi płomień, w spowiciu czarnego dymu, buchnął w górę.

Ciżba zawyla — i ścisła.

Oczy Toma wyskoczyły z orbit, a głowa opadła na piersi. Odór palącego się ciała nappełnił powietrze.

Tłum zawył. Wycie to, odbiwszy się o mury fabryczne, poszło echem w jedyną ulicę robotniczego miasta i ścisła.

Luiza, leżąc zemdlna przy studni, otworzyła z wolna oczy. W blasku złowróznej pełni księżycowej tonęły chaty murzyńskie. Śmiertelna cisza była wokoło.

Gdzie Tom Burnwell...? Gdzie Tom Burnwell...?

Ach! Trzeba zbawcą pieśń zanućć... Może Tom Burnwell do niej wróci... Może powróci...

Wzrok zamrtwiały utkwivszy w rozżarzonym do białości tarczy księżycowej, jękkłą nutą fletu ją zelcha zawodzić:

„Red nigger moon, Sinner!

„Blood - burning moon, Sinner!

„Come out that fact'ry door!“

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“

Rok V.

Niedziela, dnia 4 listopada 1928 r.

Nr 45.

„Danton” w Teatrze Miejskim.



W dniu 27 ub. mies. Teatr Miejski w Łodzi wystawił potężny dramat historyczny p. n. „Danton“ R. Rollanda, osnuty na tle wielkiej rewolucji francuskiej. Zdjęcie nasze przedstawia zbiorową scenę aktu III-go.